

Księga wyjścia – 45

1 lutego 2020

Ballada o słowie dobrym, słowie złym...

„Urodziłem się w Generalnej Guberni, umrę w RP z nieustalonym jeszcze numerem, ale najpiękniejsze lata swojego życia spędziłem w PRL. Nie sadziłem, że doczekam takich czasów i wiesz co – wolałbym ich nie doczekać” – powiedział ze swoim charakterystycznym uśmiechem Andrzej, gdy przypadkiem wpadliśmy na siebie na ulicy. Pomimo wieku ma niesamowitą kondycję i w pieszych wędrówkach zostawiłby za sobą wielu dwudziestolatków.



Andrzej jest bardzo ciekawym człowiekiem. Poznałem go na przełomie szkoły podstawowej i średniej. Nie pamiętam dokładnie czy było to w ósmej klasie, czy może już w liceum. Przez wiele lat pracował w poradni wychowawczo zawodowej zajmując się trudną młodzieżą. Ponieważ i ja znalazłem się w tej szerokiej grupie, również tam trafiłem. Z wiekiem znajomość zmieniła swoje relacje i z czysto zawodowych (psycholog – pacjent) stały się koleżeńskie. I mimo różnicy wieku, utrzymywaliśmy kontakt nawet gdy już miałem własną rodzinę i poukładane życie odwiedzałem go w tej placówce, praktycznie do samej jego emerytury. Oczywiście charakter tych

wizyt również uległ zmianie, ot, wpadałem wypić z nim kawę.

Podziwiałem jego opanowanie i spokój, a czasami prosiłem o radę przy wychowaniu własnych dzieci. Zawsze uśmiechnięty, zarażał innych swoim optymizmem. To właśnie on zawsze mi powtarzał, że bym nie zabijał tego co jest we mnie najcenniejsze – wrażliwości. Na początku nie bardzo wiedziałem o co mu dokładnie chodzi.

Przecież byłem zwyczajnym chłopakiem, który za wszelką cenę chciał utrzymać pion nie pokazując słabości. Być twardszym, odważniejszym i bardziej szalonym od innych. Jak to wówczas wśród młodzieży bywało. Na szczęście udało nam się nie pozabijać. Skutecznie za to pozabijałem, to co według Andrzeja było tak cenne – wrażliwość. Nauczyłem się nie okazywać słabości, skutecznie poukrywać prawie wszystkie emocje o uczuciach nie wspominając. Przestałem odróżniać dobro od zła i często przechodziłem obojętnie obok ludzkiej krzywdy. Dopiero lata różnych terapii odgrzebały to, co tak długo w sobie dusiłem. Wspomnianą przez niego wrażliwość. Nie miałem jednak pojęcia o skutkach ubocznych gdy na dobre zrzuciłem z siebie ten pancerz...

Zaczyna się zwykle podobnie, od jednego większego problemu. Ot, niezapłacony jeden drobny rachunek. W sumie nic takiego, w najgorszym wypadku naliczą odsetki, a przy kolejnym przypływie gotówki bez problemu można będzie to wyrównać. Najlepiej byłoby szybko pozbyć się tego problemu z głowy. Wyprzeć, zapomnieć, nie dźwigać tego ciężaru. Po prostu, spokojnie poczekać do czasu gdy przyjdzie odpowiedni moment, by zaległość uregulować.

Przecież to nie powód do rozpacz, a tym bardziej załamania. > Jeśli jednak zaraz za nim przyjdzie cała seria innych „pierdół”, to mózg zaczyna reagować zupełnie nieadekwatnie. Drobiazgi rosną w krzywym zwierciadle wyobraźni do niebotycznych rozmiarów, a jednocześnie „złośliwa” pamięć przywraca wszystkie dawno już zapomniane problemy. Jeśli seria

pechów trwa nadal, to mózg przypomina sobie już te zupełnie nieistotne – dawno załatwione. I mimo że rozwiązane, ponownie dają o sobie znać. Znowu stały się ważne, bo zanika też pewność czy zostały rozwiązane. Poza tym utwierdzają w poczuciu własnej nieudolności, już nie mamy pewności czy zostały rozwiązane, a sam fakt że w ogóle się pojawiły jest kolejnym kamykiem do plecaka z napisem „upadam”. W końcu dochodzi do sytuacji, gdy pukanie do drzwi, dzwonek telefonu przyprawiają o palpitacje serca, a spadająca ze stolika łyżeczka wprawia w autentyczne przerażenie.

Efekt kuli śnieżnej. Zwykła pierdoła rośnie do gigantycznych rozmiarów, zbierając po drodze małe, nic nieznaczące potknięcia. Czasami potrafi dołożyć swój płatek do tej kuli pogoda, pora dnia i milion innych indywidualnych „nicnieznaczeń”.

Złe słowo wypowiedziane przez kogoś bliskiego w złą porę. Można długo spekulować, bo każdy ma inną czułość i inne natręctwa. Ale sekwencja zawsze jest jednakowa. Ciągłe skalowanie napięcia. Może to wyglądać na paranoję, ale nią nie jest – chociaż odczucia podobne – to początek innego problemu. Bardzo poważnego, bo śmiertelnego – depresji. Wielokrotnie mamy tego świadomość, ale i tak jesteśmy bezbronni. Jak trudno jest się przed tym bronić wiedzą ci, którzy to przeszli. A po transformacji ustrojowej jest ich naprawdę bardzo dużo.

Oczywiście jedni są bardziej odporni, inni mniej. Ale wątpię, by byli ludzie całkowicie odporni. Bardzo długo z tego schematu korzystały firmy windykacyjne. Do perfekcji opracowały system umiejętnej manipulacji natężeniem, potrafiły doprowadzić do załamania nerwowego, depresji i w efekcie samobójczej śmierci.

Na pograniczu prawa łamały ludziom kręgosłupy, niejednokrotnie doprowadzając do ostatecznego kroku. Nie wprost oczywiście, ale jak wiele osób popadło w depresję, ilu tego nie wytrzymało? Ludzie wrażliwi są najłatwiejszym łupem. Jeśli

jeszcze mogą, mają możliwość, spłacają horrendalne odsetki od długu, który już wielokrotnie spłacili, biorą kolejne chwilówki, zaciągają kolejne pożyczki u podejrzanych „dobroczyńców”, którzy pojawiają się zawsze jak spod ziemi w odpowiednim momencie. W tej sytuacji zaszczuty człowiek jest wdzięczny „wybawcy”, który w tym momencie wydaje się aniołem, przyjacielem, kimś kto wreszcie podał rękę. Miotając się w sieci realnych i wyimaginowanych problemów – powstałych w rozszalałej wyobraźni – nie zastanawiamy się nad tym co później, ważne by złapać oddech. „Cudotwórcy” oddech ten dali, by po jakimś czasie postawić żądania, lub zakręcić „butlę z tlenem”.

Tak właśnie dochodziło do niewyobrażalnej spirali zadłużenia, eksmisji, a w skrajnych przypadkach samobójstw. Nie jest ważne jak to nazwie, u i do czego porównamy, czy do kuli śnieżnej, czy kropli drążącej skalę. W pierwszym przypadku nas zmiażdży, przygniecie i zadusi, w drugim enta kropla – tak naprawdę delikatnym uderzeniem – roztrzaska nawet najtwardszą czaszkę.

Trochę faktów...

Suicydologicy (naukowcy zajmujący się problemem samobójstw) podkreślają, że obecnie z własnej ręki ginie więcej osób niż w wypadkach samochodowych. Zdaniem specjalistów, liczba ta jest jednak znacznie wyższa niż wynika z policyjnych statystyk. Obowiązek opisywania wprowadzono w szpitalnych kartach chorobowych pacjenta dopiero w 2018 roku.

Poza tym nie znamy liczby samobójstw ukrytych. Czyli takich, w których ktoś pozoruje wypadek. Choćby dlatego, by nie piętnować rodziny. To wciąż szara strefa tej makabrycznej „autoeutanazji”.

Opierając się tylko na samych oficjalnych danych policji, które są dosyć mgliste i nawet o trzydzieści procent rozbieżne z danymi GUS. W latach 2000-2013 blisko sześćdziesiąt pięć tysięcy osób odebrało sobie życie. Największa fala była

między 2007, a 2016 rokiem. W ostatnich latach średnia ta zaczęła wyraźnie spadać. W 2017 według tych nieprecyzyjnych szacunków było o osiemset samobójstw mniej niż w roku 2013 i 2014. Według tego samego źródła w 2018 roku było połowę mniej zamachów na własne życie niż jeszcze rok wcześniej.

Mimo, że wiarygodność jest dyskusyjna i nieprecyzyjna, to jednak stanowi jakiś punkt odniesienia. Może dlatego, że pojawił się spod ziemi taki „przyjaciel” i rozwiązał większość problemów. W cudowny sposób znacznej części z nas zabrał ten potwornie ciężki plecak wypchany kamieniami?

Obawiam się jednak, że ów „przyjaciel” zażąda sowitej zapłaty. Na przykład pełnego posłuszeństwa. Tak, mam na myśli PiS, które ukręciło łeb większości firm windykacyjnych, choćby skróceniem i jasnym określeniem przedawnienia długu. Pomijam aferę GetBecku i ich niejasnych powiązań z obecną władzą. Faktem jest, że w kluczowym momencie, gdy firma wpadła w kłopoty, władza im tej ręki nie podała. Pomijam spekulacje prasowe o spotkaniu Kornela Morawieckiego z kierownictwem „funduszu” – cudzysłów zamierzony. Piszę z punktu widzenia zwykłego człowieka, który wpadł w tarapaty.

Skupmy się jednak na faktach. Od kiedy rządzi PiS, ludzie znajdują mniej „dziwnych” listów w swoich skrzynkach pocztowych, odbierają mniej dziwnych telefonów o rozmaitych portach dnia i nocy. Niektórym w ogóle ucichły, a najbardziej bezlitośni komornicy – ściągający dług sprzed trzydziestu lat – przysłali wreszcie pisma, że odstępują od egzekucji.

Nie mam złudzeń, to może nas wiele kosztować. Bardzo wiele. Ale jeśli opozycja naprawdę chce wygrać wybory, to zamiast szydzić z „beneficjentów pięćset plus”, czy kpić ze społeczeństwa, że dało się skorumpować, powinna zrewidować swoją narrację i zastanowić nad innymi argumentami. Bo w ten sposób nigdy nie przekonają do siebie odpowiedniej liczby wyborców.

Wracając do wniosków naukowców, przydałby się bardzo specjalistyczny program profilaktyki, który w innych krajach znacznie obniżył tę okrutną liczbę „śmierci z przerażenia i niemocy”.

„Słowo leczy, słowo zabija. Wszystko zależy jak je wykorzystamy” powiedział kiedyś szef Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, profesor Brunon Hołyst.

Pamiętam, że Andrzej zawsze dysponował całą paletą „dobrych słów”, niemalże na każdą okazję, posługiwał się nimi po mistrzowsku.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info